№ 51. Warszawa, dnia 19 (7) Grudnia 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

OD REDAKCYI.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika" — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na rok przyszły.

Prenumerata wynosi:
W Warszawie, kwartalnie rs. 1.

Z przesyłką pocztową:
kwartalnie rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści" w Warszawie, Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Or-Ot.

Wigilia na wsi.

OBRAZEK.

Uroczyście na błękity,
Wschodzi gwiazda złota,
Ku krainie w śnieg spowitej
Wesoło migota.

Na milczące patrzy łany,
W rzecznej tafli miga szklanej,
Pojrzy w ciemny bór;
I żegluje po przezroczu
Tam, gdzie stoi w lip otoczu,
Modrzewiowy dwór.

* * *

Od świec mnogich szybki płoną,
W dworku śmiech i gwar:
Bratnie serca, bratnie grono,
Uczuć bratnich czar!

Z pod obrusa świeże siano
Wokół sieje woń wiośnianą,
Woń kwiecistych stron;
A po kątach gwiazda Boża,
Widzi kłośne snopy zboża:
Hojny niw tych plon!

* * *

I opłatek przełamali
Ze łzą cichą w oku:
„Aby dalej... aby dalej!...
I — Dosiego roku!"

I życzyli, jak należy,
I zasiedli do wieczerzy;
Kielich wkrąg podzwania.
Prosto w okna gwiazda miga,
A ot! służba z kuchni dźwiga
Wigilijne dania!

* * *

K'modrzewiowej onej chacie,
Bóg swą łaskę nagnie,
Tedy macie, panie bracie,
Czego dusza pragnie!

Setna starka! ryby! grzyby!
Nic tu nie brak bez ochyby,
Krom ptasiego mleka!
I podjedzą sami przednio,
I ostawią nie obrzednio
Dla biednego człeka!

* * *

Pod oknami pieśni słowa
Dźwiękły: „Bóg się rodzi!..."
Stara nuta kolendowa
Do komnaty wchodzi!

I podchwycił dwór ochoczo:
Czyste głosy w dal przezroczą
Płyną: „Moc truchleje!..."
Wtór podały lip konary,
I echami pieśni starej,
Ozwały się knieje!

* * *

Noc pogodna, gwiazdy świecą:
Na pasterkę czas!

I już sanki pędzą... lecą,
Z wiatrem pędzą wraz!

Kościół suto oświetlony,
Brzmią organów wzniosłe tony,
Ludu mnogo... mnogo!...
Siwy proboszcz, starowina,
Mszę odprawiać rozpoczyna:
W sercach jasno... błogo!

* * *

A ów powrót! ot, wesele!
Znacież noc zimową?
Jak makata śnieg się ściele...
Rzeźwo! jędrnie! zdrowo!

Hucznie z bata tnie woźnica,
Rumieńcami barwi lica,
Mroźne wiatru tchnienie!
Śmiechy—pieśni—gwar—szczebioty!
Myśl radosna, humor złoty:
Boże Narodzenie!...

Gamaston.

WIARA...

FRAGMENT Z ŻYCIA.

(Dokończenie.)

— Zkądże zwątpienie? — odrzekła?

— Taki dziwny jakoś jestem, wybacz — odrzekłem, całując jej ręce.

Jakiś nieopisany smutek opanował mię, dlaczego ona bała się burzy? Czy straciła we mnie wiarę? może kochać przestała? Odpędzałem od siebie te myśli, jednak ciągle mnie dręczyły.

Przy Janinie była młoda, dwudziestokilkoletnia guwernantka, dzieciak bardzo ją lubił, a i ona była dobrą i łagodną, a dla mnie nadzwyczaj usłużną, chociaż tego nie potrzebowałem, mając aż zanadto sług w domu. Pewnego rana, kiedy Magdalena wyjechało konno, wyszedłem, ale zaraz wróciłem do gabinetu, zapomniałem napisać kartkę do sąsiada; we drzwiach spotkałem guwernantkę.

— Co pani tu robisz — grzecznie zapytałem?

Odpowiedziała coś dziwnie zmięszana i uciekła.

Rozgniewany zbliżyłem się do biurka i na pierwszem miejscu zobaczyłem list, bez marki pocztowej, pod moim adresem.

Rozerwałem kopertę i przeczytałem mniej-więcej te słowa:

„Notaryusz Brisson zaczęsto bywał w pańskim domu; po pańskim powrocie zaprzestał, ale znów markiza zaczęsto jeździ konno.

Przyjaciel."

Krew uderzyła mi do głowy. Co to jest?... Zebrałem całą siłę woli, aby nie upaść. Zadzwoniłem na kamerdynera, pokazałem mu kopertę pytając kto przyniósł? — nie wiedział, cała służba była pytaną — nikt nie mógł objaśnić zkąd się wziął list. Oczywistem było, że to guwernantka list położyła.

Biada oskarżycielce — pomyślałem — a jednak jeśli to prawda? Nie, moja ukochana Magdalena miałaby... nie, nie, być może, że on się w niej zakochał, wszak tego nikomu zabronić nie można, ale żeby ona... Wstydziłem się sam przed sobą, żem śmiał posądzić Magdalenę. Chciałem przyzwać guwernantkę, zrobić skandal i wypędzić ją... zwątpienie jednak owładnęło mną i przyczaiłem się jak czerwonoskóry indyanin, co się jednak w mej duszy działo...

Nazajutrz, zaraz po wyjeździe Magdaleny już byłem na koniu, w kurtce i czapce, jak chłopiec stajenny i wyruszyłem, śledząc ją z daleka. Jechała drogą ku St. Quay, skręciła z drogi i pojechała pod lasem; okrążyłem drogę i z drugiej strony wjechałem w las; czekałem w gęstwinie, niezadługo koło mnie przegalopował piękny notaryusz. Niedaleko spotkali się, słyszałem ich wesoły śmiech i jej czarujący głos. Chciałem wyskoczyć z zasadzki, ale umitygowałem się, skryłem boleść w sobie i powróciłem do domu upokorzony i zgnębiony. Cały dzień nic nie mówiłem, nie jadłem, udawałem chorego i zamknąłem się w gabinecie, układając różne plany, a bezustannie starałem się uniewinniać Magdalenę, wmawiałem w siebie, że spotkanie było w interesie, że sprawy majątkowe wymagały widzenia się i t. p.

Nazajutrz, kiedy Magdalena zeszła i przyprowadzono jej konia, znalazłem się przy niej ubrany do konnej jazdy — i mnie podano mego Jupitera.

— A to co? — pytała, — nic nie mówiłeś?

— Chciałem ci zrobić niespodziankę: od dziś będę miał szczęście zawsze ci towarzyszyć — odrzekłem z uśmiechem i galanteryą.

— A czy ci nie zaszkodzi — pytała troskliwie?

— Nie, jestem już zupełnie zdrów.

Ruszyliśmy jadąc obok siebie, skierowałem na drogę do St. Quay, gdyśmy zbliżyli się do lasu, Magdalena chciała skręcić na prawo, to jest w stronę przeciwną, tę w którą jeździła wczoraj, ale ja zwróciłem na lewo, mówiąc:

— Tu śliczna, wesoła droga.

Jechaliśmy wolno a w dziesięć minut wyjechał z lasu notaryusz elegancko ubrany, widziałem, że się zmieszał, ale Magdalena wesoło witała go:

— To pan także jeździ konno jak sportsman? Sądziłem, że notaryusze jeżdżą tylko powozami, w interesach lub do sporządzenia testamentu.

Słowa te były dla mnie niezaprzeczonym dowodem, że spotykali się zawsze umyślnie. Chciałem rzucić się na notaryusza i wychłostać go spicrutą, ale pokonałem uniesienie i boleść.

Następnego dnia Magdalena miała migrenę i nie wyjeżdżaliśmy. Byłem tak rozwścieczony, żem nie wiedział co się ze mną dzieje, moje bożyszcze spadło z piedestału, zdradza mnie, depce moją miłość. Postanowiłem raz jeszcze doświadczyć; nie sypiałem po nocach, miewałem jakieś halucynacye, trwożliwe przeczucia, bałem się jakiejś nieokreślonej katastrofy. Przez kilka dni wyjeżdżałem po południu konno sam do lasu, tam rozpaczałem, a furye zazdrości i upokorzenia szarpały moje piersi — byłem blizki obłędu.

Czwartego Kwietnia zerwałem się jak zwykle o świcie i biegałem po pokoju, jak rozjuszony tygrys w klatce, wiatr silnie uderzał w szyby, wyjrzałem na morze, pieniło się i wrzało. Kazałem zaprządz i sam jeden pojechałem, wziąwszy skrzynkę z pistoletami ze sobą, wychodząc robiłem dużo chałasu i manifestowałem mój wyjazd, aby wszyscy o tem wiedzieli.

Wróciłem koło dziesiątej, Magdalena pytała mię, dokąd tak rano jeździłem — odrzekłem, że później jej powiem, a tymczasem zaproponowałem wyjść do parku. Poprowadziłem ją ku „langue de chat." Deszcz nie padał, ale niebo było pokryte jakby ciężkim ołowiem, od zachodu nadciągały ciemniejsze chmury, wicher wył przeraźliwie, a morze silnie było wzburzone i fala coraz się powiększała. Gdyśmy weszli na taras, z potrzaskanej ławki zerwała się i odleciała z przenikliwym krzykiem spłoszona mewa, która się przed burzą ukryła.

— Siądźmy do łodzi — proponowałem, kierując się ku kamiennym schodkom.

— W taką pogodę? — odrzekła Magdalena.

— A cóż to szkodzi, wszak ja cię wozić będę, nie ma żadnej obawy.

— Ależ to niepodobna, to niebezpiecznie!

— Niebezpiecznie? chyba żartujesz, czyżbyś się bała?

— Rozumie się, że się obawiam!

— Boisz się, ty się boisz? — zawołałem silnie schwytawszy ją za rękę.

Musiałem być straszny, bo Magdalena cofnęła się; dziwne przerażenie malowało się na jej twarzy — chciała wyrwać swoją rękę — ale ją mocno ścisnąłem.

— Boisz się — wołałem, — boisz?... a wiesz dlaczego? boś straciła we mnie wiarę, boś mię kochać przestała, bo kochasz innego. Pytałaś, gdzie byłem rano... biłem się z notaryuszem — kłamałem — wsadziłem mu kulę pod serce, zapewne teraz umiera!

Magdalena wyrwała rękę i chciała biedz ku pałacowi, zastąpiłem jej drogę — schwyciła się oburącz za głowę.

— Nieszczęśliwy coś uczynił — zawołała rozpaczliwym głosem, — ja go kocham!...

To bezwstydne wyznanie doprowadziło mię do wściekłości, wpiłem ręce w jej ramiona i drżącym, nie ludzkim głosem wołałem, chcąc przekrzyczeć ryk morza:

— Kochasz! a mnie kochać przestałaś? a przecież tu na tem miejscu przysięgałaś, że tylko mnie jednego zawsze kochać będziesz, a teraz depcesz moją bezbrzeżną, świętą miłość!... ale ja kocham cię niezmiennie, jesteś moją, moją niepodzielnie... i nigdy do nikogo należeć nie będziesz!

Schwyciłem ją na ręce, podniosłem do góry i wrzuciłem w otchłań morza!...

Abbazia, wrzesień 1896 r.

Książki dla dzieci i młodzieży.

(Dokończenie.)

Cenną pracę Anczyca „Księgę sławniejszych odkryć i wynalazków" przejrzał i uzupełnił Władysław Umiński, nadając jej zarazem nowy tytuł, bardziej istotnie odpowiadający jej treści: „Księga sławniejszych odkryć geograficznych."

W nowej swej postaci „Księga” zawiera w sobie historyczny całokształt usiłowań człowieka, podjętych w celu poznania i zbadania powierzchni globu ziemskiego.

Do skreślonego przez Anczyca obrazu odkryć dokonanych w wieku XV i XVI, i dawniejszych wypraw podbiegunowych, dodał Umiński jako wstęp krótki rys o wiadomościach geograficznych ludów starożytnych, zajmujący ten dział opatrując mapami, z których najlepsze powziąść można wyobrażenie o stanie nauki tej u Greków, Rzymian, a następnie w Wiekach Średnich. Dołączył nadto dzieje wypraw afrykańskich Mungo-Parka, Liwingstona, Speke'a, Bakera, Stanleya, Richardsona, Bartha, doktora Nachtigala, Szweinfurtha, Camerona, Serpa Pinto, Rogozińskiego i innych, jak również zajmujący opis podróży po tajemniczych głębinach Azyi Maltzana, Wredego, Coopera, Przewalskiego, Grąbczewskiego, Szecheny'ego i innych. Dzieje wypraw podbiegunowych doprowadził Umiński do roku 1896, do wyprawy Nansena, a właściwie do 1897 do zamierzonej dopiero podróży balonem Andrée'go. Ameryka północna, Australia, Oceania nie zostały bynajmniej pominięte. Archipelagom Oceanii zwłaszcza i przygodom zwiedzających je podróżników poświęcono opis, jak na popularne dziełko dla młodzieży bardzo szczegółowy i wyczerpujący.

Tak wzbogacona „Księga odkryć” nie straciła nic z barwności obrazów i żywości uczuć humanitarnych, które w pracę swą włożył Anczyc, a zyskała na gruntowności i dokładności naukowej.

Dla młodzieży przy nauce geografii dziełko to stanowić może pomoc bardzo skuteczną. Obrazowością swoją bowiem przemawiając do wyobraźni czytelników, z łatwością utrwala w pamięci ich przeróżne szczegóły i nazwy egzotyczne, z któremi przy pomocy suchych podręczników z trudnością zazwyczaj dają sobie oni radę.

W ostatnich czasach belletryści piszący dla dzieci, zaczynają zwracać się coraz częściej ku pierwszym chwilom rozwoju chrześciaństwa, ku epoce bohaterskiej kościoła, czerpiąc z niej przykłady bezwzględnego poświęcenia dla idei, nieustraszonego męztwa, wogóle nadludzkiej niemal podniosłości etycznej.

Jedną z takich powiastek osnutych na tle prześladowania pierwszych Chrześcian jest „Aktea” Teresy Jadwigi. Bohaterką jest młoda dziewczyna, której imię służy za tytuł opowiadaniu.

Rzecz dzieje się za panowania Trajana. Młodą Akteę porywa cudowny prąd nowych wierzeń, i niesie ją na grożące śmiercią męczeńską skały amfiteatru. Pobłażliwości Cezara zawdzięcza młoda Chrześcianka życie. Na wygnanie tylko skazuje ją wyrok imperatora. Ale z sercem pełnem radości opuszcza dziewczyna Rzym rodzinny.

Wszyscy, których kochała, zrozumieli ją, i schylili czoła przed prawdą, a co ważniejsza, tych którzy ją nienawidzili potrafiła przejednać dla siebie, i w serca ich wlać miłość i wiarę w Chrystusa, w dobro i przebaczenie.

Słusznie robią pisarze dziecinni, sięgając do tego skarbu najwznioślejszych i najczystszych obrazów, jakie ludzkość w skarbnicy wspomnień swoich posiada. Słusznie czynią, gdy duszom dzieci naszych zawczasu pławić się każą w atmosferze ofiary i poświęcenia.

Miłe bardzo wrażenie daje obrazek p. Zuzanny Morawskiej, p. t. „Witek z Kleparza.” Widzimy niemal przed sobą tego małego artystę, który zamiast brać się do ojcowego rzemiosła, marzy o aniołach i świętych, i postacie ich oglądane oczyma duszy wyrzyna w drzewie. I miło nam pod sutanną skromną księdza Jana domyślać się wielkiego kronikarza naszego, i w odzianych z prostotą pacholętach odgadywać synów królewskich, a w małym Witku z Kleparza genialnego Wita Stwosza. Jesteśmy tu niby pod urokiem owej zorzy, o której poetka nasza powiada, że była „najpiękniejszą z zórz” i w poranek biały szła „łanem złotych zbóż.” Jest w tem opowiadaniu zwłaszcza na pierwszych jego kartach coś ze świeżości owych dni porannych, co dziwnie ujmuje i zniewala czytelnika.

W niezwykle wykwintnej oprawie ukazał się zbiór powiastek Cecylii Niewiadomskiej p. t. „O czem Zosia nie wiedziała.” Jest to jedna z najlepszych książeczek przeznaczonych dla małych dzieci. W zajmującej i dla umysłów dziecięcych najprzystępniejszej formie podawaną tu jest nauka miłości bliźniego. Motyw ten powtarza się w powiastkach: „Waluś,” „Dobry Adaś,” „Przyjaciółki,” „Samolub,” „Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło,” „Kaleka.”

Pięknym językiem i myślą głębszą odznacza się fragment ostatni „W sinym obłoku.” Wogóle pod względem artystycznego obrobienia, książeczka Niewiadomskiej przewyższa wszystkie niemal utwory tego rodzaju, dla małych dzieci pisane.

Odznaczone zaszczytnie na konkursie „Przyjaciela Dzieci” „Słoneczko” Jadwigi Chrząszczewskiej jest powiastką osnutą na motywie poczerpniętym, jak się zdaje, z legendy ludowej. Legenda mówi o dziewczynie, którą nazywano *Słoneczkiem*, bo złotą miała kosę i serce złote, bo jako słońce ogrzewa, do radości budzi i do życia, tak z duszy jej idące promienie miłości bratniej smutek każdy dokoła niej zamieniały w wesele, roztерkę każdą—w ciszę, chmury i dżdże — w pogodę.

Autorka pokazać nam chciała, że dziewczyna z legendy i w rzeczywistości istnieć może. Rzuciła ją na tło skromnego zaścianka wiejskiego, i tam duszy jej promieniować kazała we wszystkich kierunkach, zarówno na otoczenie prostacze jak i na dusze bardziej wyrafinowane, które od niej uczą się miłości ludzi, za jej pomocą zdobywają ciszę wewnętrzną, spokój i pogodę.

Całą powiastkę przenika ciepło serdeczne, tchnienie poezyi unosi się nad nią.

Na tem kończymy, ten z konieczności nie dość dokładny i nie dość wyczerpujący przegląd wydawnictw przeznaczonych dla dzieci i młodzieży.

F.

WSPOMNIENIE.

Było to roku... ale mniejsza o rok. Pamiętnym wprawdzie stał się on dla mnie osobiście, czytelnikowi jednak cztery niewymowne cyfry tej daty niczby nie powiedziały z pewnością. Ot taki sobie rok jak każdy inny — jednym pomyślny — bolesny dla drugich — w niejednem sercu nawet krwawem jakiemś zapisany wspomnieniem, ale ponieważ się on dla ogółu całego niczem nadzwyczajnem nie zaznaczył, więc go tutaj nie wymienimy wcale.

Ważniejszą natomiast będzie ta okoliczność, że było to 24 Grudnia, że od rana rozmyślając w ciszy i spokoju doczekałem się wieczornego zmierzchu, i co zatem idzie odgadywałem ukazanie się w tej chwili gwiazdy wieczornej.

Dlatego mówię: odgadywałem, że mi tego faktu nie zwiastował żaden przyjazny głos ludzki, żem go własnemi oczyma także nie ztwierdził, ani mi o konieczności pojawienia się tego światła niebieskiego na firmamencie nie mówiły skazówki zegara. Dlaczego byłem samotny, dlaczego nie miałem obok siebie nikogo z blizkich, dlaczego obywałem się bez wielu rzeczy, to już pominę w tem opowiadaniu, ograniczając się do wyznania, że mi było w tym dniu ciężko wyjątkowo—nadmiernie—niezwyczajnie ciężko.

Zkąd jednak przyszedł na mnie rozstrój tak niespodziewany?

Byłem zdrów, a mimo to leżałem na łóżku, twardo mi było pod głową a mroczno w głowie od myśli, które raz huczały niby uragan jakiś szalony, to znowu zatrzymywały się jak gdyby zanikały już we mnie wszystkie władze duszy, a nieuchronny koniec istnienia zbliżał się biegiem przyspieszonym.

Tak było w mojej głowie. Jak było w sercu opisywać wam nie będę, bo to taki stan zupełnie wiernie opisanym być nie może, jak się o tem przekonałem. U mnie był on wyjątkowym całkowicie, ale pokazuje się... Silili się wprawdzie ludzie nieraz na oddanie tego co się określa przez wyrazy: tęsknota, ból, cierpienie, ale wszystkie podobne, mniej lub więcej udatne robótki literackie, gdy mi się przypomniały i uprzytomniły w tym dniu pamiętnym—mnie com taką zmorę uczuł na duszy po raz pierwszy w życiu—wszystkie one wydały się wówczas blade, niedołężne po prostu — zrobione.

Wtedy sprawdziłem, że Golgota faktyczna, a Golgota papierowa to tak jak rzeczywistość a dekoracya teatralna składająca się z drzewa, płótna i farby. Ale to trzeba spróbować koniecznie, ażeby wiedzieć.

Od południa rozmyślałem o tem, dlaczego w dniu tym, wedle pojęć moich ówczesnych, zwyczajnym, i tak dobrym jak każdy inny dzień roku — dlaczego w dniu tym było mi gorzej i ciężej, jak w każdym innym, i takiego prostego zapytania rozwiązać sobie nie umiałem. Przyzywałem w pomoc rozsądek, refleksyą, wstydziłem się przed sobą tego stanu ducha, a mimo to coś ściskało w piersi, mąciło myśli, i gdyby nie miłość własna, która u pewnych organizacyj ludzkich dosyć ważne zajmuje miejsce, gotów byłbym może zdobyć się i na inne jeszcze—nawskroś niewieście, oznaki nerwowego rozstroju. Nie wiem—nie jestem pewny, ale mi się wydaje, że tej przynajmniej ostateczności udało mi się uniknąć przez dzień cały. Zkąd się to wszystko u mnie wzięło jednakże?

Co wogóle upatrzyli sobie ludzie do tego wigilijnego wieczoru? Co ich tak ekscytuje w tych godzinach przedwieczornych — dlaczego wszyscy uroczyściej bywają nastrojeni niż zazwyczaj — dlaczego tyle zachodu i trudów zadają sobie w onym dniu te dobre, kochane matki nasze? Toż mnie, świadomemu całej ważności jaką w życiu naszem zajmuje wigilia Bożego narodzenia, przyszło na myśl dzisiaj, że gdyby się kto uwziął a chciał w jednym domu zachowującym jeszcze tak zwane tradycye domowe, wiernie i skrupulatnie zaregestrować nastrój duchowy wszystkich jego członków w tym dniu wyjątkowym, i gdyby tę pracę

systematycznie a umiejętnie przez szereg lat prowadził, wytworzyłaby się tym sposobem może cała historya danej rodziny.

„Taką bywa przesądów panujących władza"— myślałem sobie.

Ułatwieniem sobie życia nazwać takiej metody nie mogłem na żaden sposób, boć ostatecznie i bez tego balastu wspomnień, rozpamiętywań i czułości dosyć ciężkiem bywa brzemię naszego bytu. A jednak cośchyba w tem być musi, boć i ja sam przecie, który wypracowałem sobie tak mozolnie chłodny i trzeźwy pogląd na to dziwactwo niewytłómaczone, który umiałem przejść po wszystkich smutnych na ten temat żalach najbliższych moich—ja który sztywniejszy i chłodniejszy byłem przez ducha oporu w tym dniu, niż w jakimkolwiek innym—ja dzisiaj sam nie wiem dlaczego, uległem po raz pierwszy wpływom, z których wyzwoliłem się raz na zawsze, wedle własnego mniemania. Została się tam jak widać jakaś niewypruta żyłka, i ona tak pokutowała we mnie w tym nie zapomnianym dniu wigilijnym.

Oto już wymogłem na sobie spokój ducha nawet w tak trudnych warunkach, w jakich mi żyć teraz przyszło, i byłem równy, jednostajny, pogodzony z koniecznością o tyle, o ile pogodzonym być można w położeniu podobnem — nie! Przychodzi sobie jakiś dzień feralny prawdziwie — przychodzi i ni z tego ni z owego udręcza mnie jak pierwszego lepszego filistra, i ani odpędzić tego wszystkiego, ani się pozbyć. Tylko mi wspomnień i westchnień nie dostawało tutaj do uszczęśliwienia... Ha! jeśli się to wszystko zaliczać ma do liczby dobrodziejstw wychowania w rodzinie—mruczałem w gniewie—to upadam do nóg i zazdroszczę wszystkim, którzy wcale wychowywani nie byli.

Znudzony, wyczerpnięty, odpędzając bezskutecznie tłoczące się myśli, zapadałem siłą znużenia samego, jak widać, w drętwotę jakąś niepojętą i nieznaną mi zupełnie; ale że ustawały wraz z nią powoli te łoskoty pod czaszką i ten mój niepokój wewnętrzny, więc się poddawałem temu bytowi niewyraźnemu, nie rozbierając resztą świadomości mojej, ażali snem lub jawą nazwać lepiej stan, któremu podlegałem najniewątpliwiej po raz pierwszy w życiu.

Szczególne było doprawdy wszystko czego doświadczyć miałem teraz. Ujrzałem się dzieckiem na kolanach matki mojej; stanęła mi niby zaklęciem wywołana twarz jej młoda i piękna niegdyś, i słyszałem, zdało się, jak mi malcowi kilkoletniemu w ów pierwszy zapamiętany przezemnie wigilijny wieczór, tłómaczyła dostępnie znaczenie wielkich symbolów chrześciańskiego braterstwa i miłości.

Umysł dziecka brał symbole dosłownie, korzył się przed wielkiemi misteryami, zachwytem swoim wywoływał uśmiechy szczęścia na twarz tej matki szczęśliwej i dumnej z każdej oznaki dziecinnego pojmowania, i z tych pytań niemowlęcych, któremi ją zarzucałem. Widzę dokoła siebie młodsze rodzeństwo moje, i pobłażliwie a rzewnie uśmiechnięte oczy mojego ojca, i łzę na pomarszczonych licach dziadka staruszka, który zawsze rad był dopatrzeć we mnie jakąś nową cechę dziecka wyjątkowego.

Gdzieś ty dzisiaj dawno rozwiany śnie mojego dzieciństwa?

Ten sarmackich rysów staruszek w grobie już oddawna; tych młodych i pięknych podówczas dwoje rodziców moich pochyliła troska i pobieliła im włosy, a ja liść zeschły i beznadziejny daleki od nich — daleki nietylko przestrzenią, ale duszą, sercem, żywotnością — wszystkiem niestety! A jednak tamto to było szczęście—prawdziwe szczęście. Ha! stało się!

I widziałem się dalej, jak starszy już o lat kilka, po półrocznej pierwszej mojej w domu nieobecności, zdążałem w wieczór wigilijny ze szkół pod tę ukochaną rodzinną strzechę moją. Boże mój miły! Jak też te rącze szpaki mojego ojca leniwie szły tego wieczora, jak się wlokły sanki i jakiemi pochlebstwami kunsztownemi starałem się przejednać starego Jana, żeby konie przynaglał do biegu.

A kiedym już poczuł tę woń dymu jałowcowego, który się z chat włościańskich mojej rodzinnej wioski dobywał, taka się we mnie jakaś nagle zrodziła pełnia duchowego zachwytu, że aż się stary sługa do mnie z napomnieniem odwrócił.

— A pfe paniczu! A to kto tak robi. Państwo jak państwo, to oni tam od tego są rodzice, żeby darowali wszystko, ale niech Pan Bóg broni, żeby się stary Pan dowiedział. A toby zaraz mówił po swojemu: Mazgaj, a nie wnuk mój z tego chłopca. Ho! ho! nie takie my to rzeczy widzieli, i nie po pół roku my doma niebywali, a nie mazaliśmy się jak baby. Kto widział taką robotę.

I jak tu opisać to wszystko co w tej wizyi nocnej przeciągnęło przedemną obrazów zapadłych w przeszłość niepowrotną!

Jak to mię wszyscy podawali sobie z rąk do rąk od dziadka poczynając, na najmłodszem z rodzeństwa mojego skończywszy. A ta służba domu naszego, a ten lud ze wsi, który jeszcze dnia tego już po uczcie wigilijnej ściągał się do dworu, żeby małego, jak mówił z nich każdy, zobaczyć. Co chwili wywoływał mię z pokoju stary kredencerz, co chwila jakaś biała sukmana garnęła się do mnie z poczciwym uśmiechem na prostaczej swojej twarzy, i co chwila słyszałem te rzewne słowa wymawiane nad moją dziecinną głową:

— A niechże ciebie dziecko Bóg błogosławi, kiedyś ty do nas wrócił, taki jak wyjechałeś — kiedy ty jeszcze masz dla starego swoje poczciwe słowo jak dawniej.

Nie wysłuchał was Bóg ludzie dobrzy. Prędko już bardzo potem waszemu kochanemu dziecku wykradł świat z piersi wszystkie skarby uczucia, które ono przyniosło ze sobą na życie—jeszcze jedne i drugie święta podobne—jeszcze kilka uśmiechów szczęścia dla tych rodziców i tego staruszka—a potem...

Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia. I znowu zmartwychwstały przedemną święta Bożego Narodzenia spędzane później w tym starym dworku wiejskim, ale jakież one zupełnie od tamtych odmienne. Coraz posępniejsze mary, w miarę jak zjawianie się moje pod rodzinnym dachem przynosiło coraz więcej troski serdecznej i niepokoju. I widziałem niby na jawie wszystkie następne, ile ich tylko było, odwiedziny w rodzicielskim domu, i ukrywane łzy matki, i bólem widocznym poorane ojcowskie czoło i młodsze rodzeństwo, któremu ja z chorobliwie przekornym uporem wbrew prośbom wszystkim przynosiłem ze świata zatrute moje tchnienia i dzieliłem się z niem tak skwapliwie, jak tam dzielono się ze mną samym. Przypomniała mi się wzrastająca za każdym razem nuda, zniechęcenie, a w końcu wstręt mój jawny do wszystkiego, co mi niegdyś tak drogiem było.

Mentorowie młodości mojej! W jakie widmowe prawdziwie postacie przemienieni stanęliście tej nocy przed sumieniem pokutnika w tej jego tragicznej hallucynacyi. Kto was prosił o jałmużnę zgnilizny, którą tak hojnie rozdawaliście młodszym od siebie? Jaka mściwa Nemezis zesłała was wszystkich na drogę moją jedynie po to, żebyście jak upiory prawdziwe wyssali krew i życie z serca młodzieńczego? Pożoga po was — niepamięć dla was i dla wszystkich, których zaraził powiew tchnienia waszego!

O...i.

PRACA KOBIET.

(Ciąg dalszy).

Szycie bielizny.

Bieliźniarstwo od niepamiętnych czasów znajduje się wyłącznie w rękach kobiet; szycie, to czynność, do której płeć piękna czuje się powołaną przez naturalny porządek rzeczy. Od dawien dawna żona i córka przędła, tkała i przysposabiała odzież dla rodziny.

Stopniowo jednak przemysł fabryczny, stawiający sobie za dewizę: produkować szybko i tanio przy pomocy maszyn, wydarł jej ten przywilej; mamy dziś olbrzymie przędzalnie i tkalnie, które zastąpiły dawny kołowrotek i krosna.

Nie mogąc w zupełności wyprzeć ręki, przemysł każe przynajmniej posiłkować się szwaczce maszyną. Ta maszyna uprzystępniła z jednej strony szerokiemu ogółowi pracę igłą, z drugiej w pewnym choć nieznacznym stopniu obniżyła zarobki. Ponieważ zaś szycie na maszynie nie wymaga długiego przygotowania, więc przeto rzuciły się do tej gałęzi pracy tłumy kobiet. Podaż nadmierna, jak to wiemy, przyczynia się do obniżenia płacy, i oto zjawił się olbrzymi zastęp nieszczęśliwych istot, zmuszonych do ciężkiej i rujnującej zdrowie pracy za najmizerniejsze wynagrodzenie.

Pomimo wyspecyalizowania się, które w tej dziedzinie produkcyi jest posunięte do ostatecznych granic, albowiem mamy spódniczarki, staniczarki, dziurkarki, etc., kobieta nie jest w stanie zarobić więcej, aniżeli rubla dziennie.

Powyżej wyłuszczone względy skłaniają nas do utwierdzenia, że szycie bielizny jest najniezyskowniejszym zawodem dla kobiet, a do tego niezdrowym. Oddać się mu może tylko osoba znaglona najwyższą koniecznością.

Introligatorstwo.

Były czasy, kiedy introligatorstwo należało do tych uprzywilejowanych rzemiosł, któremi zajmowały się panienki, pragnące zaznaczyć swe emancypacyjne dążenia.

Gorączka ta przeminęła już, jak każdy ruch, niepodtrzymywany twardą potrzebą.

Kobiety z inteligencyi odwróciły się od niego także i dla tej przyczyny, że wymagało ono pewnych wysiłków fizycznych, do których nie były one przyzwyczajonemi

Oprawienie książki, to nie drobnostka, jak się zdaje na pierwszy rzut oka; użycie prasy ręcznej, noża do obcinania, wyciskanie napisów, to praca stosowniejsza dla mężczyzny, aniżeli dla słabej panienki. Dodajmy do tego obrzydliwy klaj-

ster, klej nie pachnący, kolorowe płótno plamiące palce, a zrozumiemy, że do oprawiania książek wziąć się może tylko osoba, mało zważająca na delikatność rąk i przyzwyczajona już do fizycznych zajęć.

Ponieważ owe ochotnice mało były przystosowane do introligatorstwa, przeto i robota pozostawiała dużo do życzenia. Osoby, które oddawały książki do przygodnych pracownic, pozbawionych ulepszonych narzędzi, narzekały na fuszerkę i odstręczyły się w końcu.

Ostatecznie introligatorstwo ustąpiło miejsca innym rzemiosłom.

Zbytecznie chyba jest zaznaczać, że przy tym fachu pozostały zwykłe robotnice, nie wiedzące nic o hasłach emancypacyi a zmuszone pracować na kawałek chleba. Traktują one wszakże introligatorstwo praktyczniej, aniżeli panienki z inteligencyi; oprawianie książek pozostawiły bowiem mężczyznom, silniejszym i zaopatrzonym w kosztowne częstokroć narzędzia, ba! nawet kapitalistom, którzy usuwając rękodzielnictwo, zakładają prawdziwe fabryki, z najrozmaitszymi maszynami, same zaś oddają się prawie wyłącznie wyrabianiu pudełek, bombonierek i tysiąca innych przedmiotów, wkraczających w granice produkcyi galanteryjnej (ekraniki, abażury, ramki, etażerki wiszące, etc.).

Praca to zupełnie właściwa dla kobiet, bo nie przewyższająca ich siły i wymagająca pewnej dozy gustu, nawet artyzmu, których one, należy przyznać, posiadają w znacznym stopniu.

Zajęcie w tej gałęzi znaleźć dość łatwo w Warszawie, gdzie się znajduje tyle cukierni, galanteryjnych i perfumeryjnych sklepów.

Na nieszczęście zarobek nie bywa tu nigdy wysoki, nie przekracza bowiem 6 rs. tygodniowo, norma zaś wynosi 4 rs.

Wobec ograniczonego pola pracy, kobiety nie powinny pogardzać tym fachem, w którym zupełnie skutecznie potrafią konkurować z mężczyznami.

Te dziewczęta, które nie mają zdolności do modniarstwa, krawaciarstwa i t. d., lepiej uczynią, biorąc się do introligatorstwa, aniżeli idąc do magazynu, gdzie jak wiadomo, trudno otrzymać miejsce „starszej panny."

(Dokończenie nastąpi).

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Zdobyła się jednak na nowe pytanie:

— Cóż ci tak pilno? Zaczekaj! Jeszcze ani Stefek, ani tatko, ani Tonio nie kazali zaprzęgać koni.

Jeszcze nie zdążyła dokończyć, kiedy on pochwyciwszy ją za rękę, wyrzekł ponuro:

— Chodź, powtarzam ci, już dosyć tego balu, konie czekają.

I pociągnął ją za sobą. Widziała, że wszelki opór na nicby się nie zdał, a bała się w tej chwili owego męża, który jej się wydał niemal strasznym, bo w oczach mu jakby iskra szału świeciła.

Szła więc cała drżąca z oburzenia, pomięszanego ze wzruszeniem okrótnem.

Coś się stać musiało — myślała.

Przed balkonem nawpół senny Iwan trzymał już zaprzęgniętą czwórkę w pogotowiu i czekał na państwa. Konie parskały, biły kopytami z niecierpliwości i wyrywały się do domu.

Wziąwszy na siebie płaszczyk jesienny, Helena schodziła po stopniach za mężem, który wolno w paltocie stąpał przodem.

Instynktownie obejrzała się raz jeszcze, bo czuła niby wzrok Ohany na sobie — istotnie to on stał nieruchomy, blady, z przymglonym wzrokiem przy klombie i patrzał na karetę.

Widząc, że go dostrzegła skłonił się, a ona kiwnęła mu przyjaźnie głową, przesyłając w myśli całą duszę swą, co się wyrywała ku niemu.

Szymonowicz domyślił się snać obecności Ohany, gdyż nie odwracając się nawet, powtórzył krótko a zimno:

— Siadajmy!

Iwan trzasnął trzykrotnie z bicza i puścił lekko konie, które, poczuwszy wolność, rączo biegły ku bramie otwartej na oścież.

A Ohana wciąż stał i patrzał za śladem małej, wiedeńskiej karety, toczącej się po żwirem wysypanej drodze.

Z początku słyszał turkot kół, chrzęst chomąt, skrzyp resorów, potem to cichło i cichło — aż w końcu rozwiało się w rannem stepowem powietrzu.

Wtem poczuł na swoich plecach rękę czyjąś. Odwrócił się i ujrzał śmiejącą się rozochoconą twarz eleganckiego Antoniewicza.

— Chodź pan! — wołał tenże, biorąc go pod ramię, - chodź prędzej, szukają pana, aby w błękitnym mazurze zrobić mu owacyę za gościnność, którą wszystkich oczarowałeś.

I ciągnął go ku balkonowi. Ohana spojrzał na młodego tancerza, jakby zbudzony z ciężkiego a przykrego snu.

Czego chciał od niego ten człowiek?

Szedł za nim jak automat bez myśli bez czucia.

Odruchowo chciał się jeszcze oprzeć, wyrwać temu eleganckiemu Wiedeńczykowi, i przystanął we drzwiach pytając:

— Dokądże mnie pan ciągniesz?

— Co tam dokąd! — wołał Antoniewicz, — chodź pan prędzej, nie ma co, musimy panu owacyę wyprawić!

A ujrzawszy przechodzących Russa i pana Kajetana wołał:

— Patrzcie, gniewa się, wstydzi się, nie chce, żebyśmy go uczcili.

— Nie chce?—pytano zewsząd, — to go wziąć przemocą.

Odzyskał dopiero w tym hałasie całkowicie przytomność, a widząc, że opór na nic się nie przyda, niby skazaniec szedł do sali, gdzie muzyka brzmiała, a huczne pary jedna za drugą leciały w ochoczym mazurze.

VII.

Tego samego dnia nad wieczorem przyjechali do Nikoreszt sekundanci Szymonowicza: wesoły jak zwykle Russo, i sztywny, pełen dystynkcyi Stepanoff. Ohana przyjął ich jak najuprzejmiej, udawał obojętność i zimną krew; ze swej strony przedstawił im Tigranesa, dziwnie ponurego, smutnego, i eleganckiego Antoniewicza, którego prosił, by pozostał na obiedzie dla towarzystwa pięknej Kargopulo, oczekującej z mężem nocnego pociągu.

Kiedy go Ohana poprosił o sekundowanie mu w sprawie honorowej z Szymonowiczem, podawszy jako powód nieporozumienie jakieś w interesach spółkowych, zaczął mu się baczniej przyglądać.

Nie chciało mu się jakoś wierzyć, by kłótnia wynikła z tego źródła, ale widząc, iż Ohana unikał dalszej w tym przedmiocie rozmowy, zrobił jeno uwagę, czyby się sprawy nie dało załatwić pokojowo? Gdy jednak tamten stanowczo wykluczył możliwość ową, dał pokój dalszemu namawianiu a podając mu rękę, rzekł poważnie:

— Cokolwiek nastąpi, możesz pan liczyć na moją pomoc i moje pośrednictwo!

Układy pomiędzy obiema stronami trwały krótko: Ohana wszystkie warunki przedstawione mu przez wysłańców Szymonowicza przyjął bez zastrzeżeń, nie chcąc nawet badać ich bliżej. Mówił, iż mu wszystko jedno: czy ma zabić lub być zabitym za dwa dni, czy za dwa miesiące, czy na tem, czy na tamtem polu, czy rano, czy w południe, czy wreszcie pałaszem albo z pistoletu.

Stanęło więc na tem, że za trzy dni, o godzinie 7 rano obaj przeciwnicy mieli się stawić na polance Rawanickiego lasu, który należał do Antoniewiczów, i strzelać do siebie z odległości 15 kroków.

Goście rozjechali się wszyscy; został tylko Antoniewicz jeden, bo mu Ohany żal było, a choć widział, że tenże udaje spokojnego, czuł przecież dobrze, iż cały nawał myśli musi mu przygniatać rozum i serce.

Ale po kolacyi, widząc zamyślenie gospodarza i Antoniewicz zaraz odjechał, obiecując się stawić w Nikoresztach w nadchodzący czwartek o godzinie 6 rano i przywieźć z sobą doktora, zkąd we czterech mieli wyruszyć razem na miejsce spotkania.

Ohana został sam z Tigranesem, przeszli jak zwykle do gabinetu dla załatwienia bieżących interesów, ale tym razem zamiast wyłożenia na biurko ksiąg rachunkowych i gospodarczych, Ohana zapalił cygaro, a puszczając wolno kłęb dymu mówił:

— Nie powiodło nam się tutaj na tych stepach mołdawskich. Widzisz, ja chciałem inaczej, a los chce inaczej. Mieliśmy tu cudów dokazywać, budzić ducha w tych zubożałych ziomkach naszych, a tymczasem oni pozostaną takimi jakimi są, wyrodnymi, a z nami kto wie co będzie.

I smutnie się uśmiechnął. Tigranes zaś spojrzał z nietajoną boleścią i rzekł:

— Pan wie, że skorom pierwszy raz spojrzał na te puste, płaskie obszary ziemi, zbudziły one we mnie tęsknotę za naszym uroczym krajem, pełnym gór, gajów, strumieni i jezior. A ci ludzie tutejsi? W nich trudno się nawet śladu ormiańskości doszukać, to nie są nasi, oni nigdy

naszymi nie będą, to gałęzie uschłe, odpadłe od wspólnego pnia, oni nas nie rozumieją, nie chcą rozumieć.

— To ty tylko panie — dodał ze wzruszeniem, — dziwnieś się wyodrębnił z owej przebrzmiałej gromady; to prawie cud, bo oni tu inni, zupełnie inni, aniżeli my.

— Wiem o tem, wiedziałem o tem — powtarzał Ohana jakby do siebie.

— Więc po cóż tu wróciłeś, kiedy cię ztamtąd puścić nie chciano, kiedy ci pod stopy zaszczyty i tysiące rzucano, kiedy cię ze czcią i szacunkiem spotykano?

Na te słowa w oczach Nikoreskiego pana zabłysnął płomień.

— Po co? — zawołał nagle. — Po co?... Ja sam sobie z tego sprawy zdać nie mogę; tajemna tęsknota, marzenie snujące się w moim umyśle poprzez całe szeregi planów i kombinacyj kupieckich, los, to fatum, którem oddychałem tam, w onej krainie palm i pomarańczy ściągnęło, zapędziło mnie tutaj napowrót, w te same miejsca, zkąd przed laty musiałem uciekać sponiewierany, prześladowany, biedny.

— Wróciłeś, panie — mówił pouuro Tigranes, — by cię tu zabito, by cię zamordowano, zakopano na tym pustym, głupim stepie.

Ohana drgnął, świetlana postać Helci stanęła mu przed oczyma i zbudziła w nim żal za życiem.

— Masz słuszność, po to tu przyjechałem, by mnie zabito w pełni życia i sił, a potem rzucono me kości w ziemię nie moją.

Jakaś rezygnacya tajona brzmiała w tych słowach, wydobytych nagle z głębi duszy. Twarz mu spochmurniała i schwyciwszy młodego człowieka za rękę zbliżył się doń i zapytał:

— A wiesz ty, przyjacielu mój, dla kogo ja się skazałem na nieszczęście, na śmierć może?

Sacharyanowi oblicze się przekrzywiło boleśnie i wyszepnął:

— Domyślam się, wiem. Ale czy to już tak być musi?

— Musi.

— Musi, jabym inaczej postąpił — odezwał się z mocą Tigranes, i wyjaśniło mu się czoło białe a w oczach zagrała ironia. — Jak? Jabym sułtankę porwał i uciekł z nią z kraju tego na zawsze. Wybudowałbym jej pałac tam, w gaju pomarańczowym, u stóp góry śnieżnej, nad brzegiem morza szumiącego w nieskończoność.

I jął mu malować rozkoszny widok ustroni, rozkoszne życie na łonie uroczej natury Wschodu. Słowa mu z ust płynęły jak melodya pieśni cudownej; mówił z takiem uczuciem, z takiem przekonaniem, jak gdyby pragnął upoić Ohanę czarem marzenia głośnego i pociągnąć za sobą.

Ohana słuchał, słuchał z przymkniętymi oczyma, zdawał się wchłaniać w siebie te dźwięki ormiańskiej mowy, na skrzydłach której wychowanek jego niósł mu pociechę, wyzwolenie i złudzenie szczęścia. Nie przerywał mu długo, pozwolił tym gorącym szeptom wsączać sobie do smutkiem owioniętej duszy tę słodką pociechę.

Ale kiedy Tigranes skończywszy, spytał go głośniej:

— I cóż, panie?

— To wszystko marzenie: — odrzekł smutnie, — sułtanka porwana uschłaby, umarła, ja ją znam. Zabardzo jest skuta więzami życia swego i otoczenia, ona wczuła się w to życie i przejęła się niem. Ty jej nie znasz.

— Zresztą — dodał, — i ja jestem nie zupełnie wolny o tych przesądnych zwyczajów tutejszych, szlacheckich. Nie mógłbym, nie potrafiłbym uciec przed przeciwnikiem, przed wrogiem i nie stanąć do walki oko w oko. Czuję w sobie dotychczas to poczucie honoru, czci osobistej, które razem z powietrzem tej ziemi wchłonąłem w siebie. Oniby mnie tu za to, za taką ucieczkę nazwali podłym, jabym zaś nie zniósł tego, chociem Ormianin wykrętny, podstępny i rozsądny. A w końcu, czyby ona za mną, shańbionym poszła? Nigdy! A wzięta przemocą w szamotaniu się wyzionęłaby ducha.

I ze swej strony mówił mu o tym innym świecie pojęć, jaki w tych krajach Zachodu istniał; mówił mu, jak ci Ormianie tutejsi przejęli to pojęcie razem z całem ukształceniem swojem.

Zasępiła się twarz Tigranesa, milczał on teraz i słuchał ponuro słów swego pana, które jak ołów roztopiony wpadały mu do duszy. Widział srogi los, nieszczęście, co się usunąć nie dało i serce mu się rwało na widok Ohany wzruszonego, wywnętrzającego się przed nim, nie panującego nad sobą. I widział go konającym, umarłym, w grobie zimnym. A nie mógł się pogodzić z taką myślą, żeby ten, w którego on tak wierzył, przed którym potęga i sława się śmiała, miał zginąć marnie.

Późno już było, kiedy Ohana się pożegnał z Tigranesem.

Dotąd nie zdawał sobie dobrze sprawy z tego co zaszło, cały dzień był zajęty gośćmi i choć to było prawie nad siły jego grać przed tymi obcymi ludźmi komedyę, udawać normalnego, spokojnego, musiał jednak poskromić buntujące się nerwy.

Przymknął oczy, bo go światło lampy raziło i wyciągnął się w fotelu, jak ten co żyje sił ostatkiem. Czuł jakby wielkie osłabienie i rozstrój ogólny w sobie.

Tak w spokoju i ciszy wielkiej, gdyż tylko zegar mały srebrny, stojący na hebanowym geridoniku tykotał monotonnie, starał się uśpić zmysły, unicestwić ducha, i pogrążyć w nicości.

Trwało to jednak przez moment, bo zaraz chmura nowych myśli, jak stado kruków i wron przysłoniła mu jaśnię umysłową i wytrąciła z niebytu.

Na wyiskrzonem niebie tysiące gwiazd migotało, błyszczało wkoło księżyca spoglądającego zbladłem obliczem na ziemię.

Zamknął lufcik, a pchnąwszy okno jednem uderzeniem ręki otworzył je — bo chciał powietrza jak najwięcej, chciał niezmiennego blasku gwiazd, stałego promieniowania miesiąca. Zdawało mu się, że ta bezmyślna a raczej niepojęta natura wleje weń strumień spokoju — uczyni go znowu panem swych nerwów.

Gdzie księżyc zajrzał, tam wszystko blakło jakby zamierało od jego światła. Wiaterek zimny choć równy powiewał i poruszał uschłymi liśćmi, co szumiały a szumiały bezdźwięcznie.

I zaczęło mu się wyjaśniać w głowie, choć tęsknota nieujęta, okrutna nie ustępowała ani na chwilę z głębi serca.

Po co to wszystko? Po co?

Przecież wiedział, że musi się tak skończyć — tego co się stało uniknąć było niepodobna; czy wcześniej, czy później rozbudzona zazdrość z jego strony a spotęgowana miłość kobiety musiały się zetknąć — i wybuch był gotowy. To była konieczność nieunikniona, o której wiedział, którą przecież przemyślał tylokrotnie, zanim tu powrócił ze Wschodu, jako pan, jako magnat, właściciel Nikoreszt.

Jeśli tak, więc po co przyjeżdżał? Po co ułagodzone, ujęte w karby uczucie wzniecił w stos płomieni w swem sercu a i w jej przecie, bo ona żyła już oddawna tylko wspomnieniami, drogiemi co prawda, lecz bądź-co-bądź wspomnieniami jedynie.

Gdyby był nie wrócił, byłoby i jemu i jej lepiej — bo teraz za te chwile kradzione, chwytane w locie podstępnie, odpokutować musieli, grzebiąc raz na zawsze spokój duszy i serca. To już przepadło: ten spokój już im nigdy nie powróci; to życie wspomnień i marzeń idealnych z lat dziecinnych, młodzieńczych, wiośnianych — rozwiało się, znikło.

Powtarzał to sobie, stojąc przed oknem i wdychając zimne prądy nocnego powietrza. Wszystko przepadło, ustało, znikło, niby sen złoty.

Mniejsza o to, jaki będzie rezultat tej sprawy: czy Szymonowicz jego, czy on Szymonowicza zabije — wiedział, że ona dlań stracona. Znał ją przecież jako fantastyczkę, jako kobietę niezdecydowaną, kochającą, a jednak pozbawioną tej odwagi, którą miłość daje.

Przypuszczał, że skoro zobaczy męża ranionego śmiertelnie, straci równowagę myślową i jego się wyrzeknie, znienawidzi nawet, nie przestając mimo to kochać.

Ogarnęła go też żałość wielka. Czuł się samotnym jak ten, którego wszyscy opuścili—wszyscy, nie wyjmując najdroższych. I na co mu te bogactwa, te dostatki, na co ten zbytek, jakim się otoczył, kiedy wśród niego było mu nieznośniej — bo nadzieja błyszcząca gwiazdą promienną nad głową jego, bladła i gasła pozostawiając po sobie ślad świetlisty, nieznaczny, blaknący.

Zamknął oczy bezwiednie i pogrążywszy się w tą bezmyślność, jaką sprowadza wyczerpanie kompletne sił, zasnął.

Spał długo, bo gdy się obudził słońce już wesoło igrało po błękitnych obiciach gabinetu, a z dziedzińca dochodziły go przez otwarte okno nawoływania i krzyki służby, oficyalistów, śpieszących każdy do swojej pracy.

Jakoś go ten sen pokrzepił: wróciła mu w części energia i pewność siebie.

Pozostawało mu jeszcze dwa dni wolnych do załatwienia wszystkich interesów, a miał ich dużo, musiał się więc spieszyć. Zaraz też po herbacie wydawszy dyspozycye Tigranesowi, z którego twarzy nie schodził smutek ponury, ruszył do Otak. Chciał pozałatwiać bieżące interesa spółki i uregulować je w ten sposób, iżby w razie śmierci jego nie powstało zamieszanie, mogące spólników narazić na straty pewne.

Przez całą też drogę do Otak marzył o przyszłem strasznem spotkaniu — a ono musiało być straszne — i coś jakby go upewniało, że się zemści, że Szymonowicza zabije.

Kiedy stanął w miasteczku, pozostawiwszy konie u Muńki, udał się wprost do kantoru. Zarzucono go tu jak zwykle nawałem interesów, planów, papierów, listów, przybyłych w ciągu ostatnich dwóch dni.

(Dokończenie nastąpi.)

KRONIKA.

Osobiste.

W roku bieżącym kończy się dwudziestopięcioletni okres działalności literackiej p. Teresy Jadwigi Papi. Nie ma chyba w sferze intelligencyi naszej średniego wieku jednostki, któraby nie zapamiętała z epoki dzieciństwa swego popularnego nazwiska szanownej autorki — nie ma i dzisiaj jeszcze w licznem gronie małych czytelników, a zwłaszcza czytelniczek naszych ani jednej takiej, dla którejby umieszczone dwa imiona Teresy Jadwigi nie stanowiły przynęty i nie wywoływały dziecinnych zaciekawień i zachwytów.

Z tego 25-cioletniego okresu znajdujemy mnóstwo prac rozproszonych po szpaltach „Przyjaciela Dzieci,” „Wieczorów Rodzinnych”; wiele z nich pomieszczał „Świat,“ a niezależnie od tego pokaźną ilością książek wydanych poszczycić się może ciche a pracowite życie jubilatki.

Uznanie tego dorobku całego jest, można powiedzieć powszechne u nas, ale przyznać wypada, że jest równie zasłużonem jak powszechnem. Umiejętność w wyborze przedmiotu dla rozwijających się umysłów dziecięcych, bogactwo pomysłów, zawsze jednaka szlachetność tendencyj, pozwalają ogółowi naszemu wyrazić dla pedagogicznych zasług szanownej autorki wysokie uznanie wraz z życzeniem, aby dzieciny nasze przez długie jeszcze lata ogrzewały się przy cieple jej szlachetnego serca, co w imieniu czytelników naszych i naszem własnem, składamy jako dług należny pracy wytrwałej i szczerej miłości ogólnego dobra.

Nauka i Wykształcenie.

Uniwersytet warszawski liczy ogółem 958 słuchaczów. W tem: uczęszczających na fakultet historyczno-filozoficzny 28 — matematyczny 51 — przyrodniczy 85 — prawny 390 — lekarski 404. Oprócz tego na farmacyę zapisanych jest 115. Słuchaczy wolnych tylko 4.

Dla kształcenia małoletnich robotników fabrycznych wprowadzone być mają w bliskiej przyszłości obowiązkowe szkoły przy fabrykach. Na utrzymanie tych zakładów wyznaczono fundusz 1,400,000 rubli rocznie, co wedle obliczeń dokonanych odpowiada cyfrze 1 rubla i 40 kopiejek na głowę.

Na posiedzeniu komissyi przyrodniczej Towarzystwa Ogrodniczego czytał swoją pracę o tępieniu wołków w spichrzach zbożowych p Zdzisław Zieliński.

Brak drobiazgowej obserwacyi u dotychczasowych naturalistów pozwolił zagnieździć się wśród mass pewnym nieusprawiedliwionym uprzedzeniom względem niektórych stworzeń. Do takich potępionych należy stanowczo między owadami osa, której o żadną funkcyą pożyteczną dla człowieka i reszty stworzeń nikt nie posądza. Tymczasem opowiada „Nature” jako pewien irlandzki entomolog dokazał tego, że w części przynajmniej udało mu się zrehabilitować to stworzenie, którego nazwa jest symbolem złośliwości. Otóż dodatnią stronę swojego charakteru zawdzięczać ma osa instynktowi mięsożerności.

Irlandzki przyrodnik ztwierdził po licznych obserwacyach, że poluje osa z całą zawziętością na muchy trapiące bydło i konie w porze upałów letnich, że po schwytaniu tego owadu natrętnego odrywa mu natychmiast głowę, skrzydła i nogi, a tułów niesie do gniazda na pożywienie dla swoich małych. Liczbę much zabitych w ten sposób przez osy w jednej stajni obliczył uczony irlandzki na 400 w ciągu 20 minut.

Dnia 21 Grudnia wstępuje słońce w znak Koziorożca, co stanowi dla półkuli północnej początek zimy astronomicznej; przechodzi ono wtedy przez krańcowy punkt południowy swojej drogi rocznej.

Ostatniego dnia roku znajduje się ziemia w punkcie przysłonecznym swojej drogi dokoła słońca, czyli w najmniejszem swojem od słońca oddaleniu. Pomimo tego zbliżenia, słońce ogrzewa nas słabo, niewiele bowiem nad poziom się wznosi, a w południe, nawet w szerokościach naszych, promienie jego dobiegają pod kątem niespełna 15 stopni.

(Wszechświat).

Sztuka.

W dniu 13 b. m. odbył się na korzyść kassy zapomogi artystów w Wielkim teatrze poranek dramatyczny. Grano:

Fragment z czwartego aktu „Stasia” dramatu Szajnochy, „Pocałunek” Banville'a i dwuaktową komedyę Kazimierza Glińskiego.

O tej ostatniej jako utworze wyszłym z pod pióra cenionego poety naszego damy osobne sprawozdanie zaraz po ukazaniu się sztuki na scenie teatru Rozmaitości.

W Salonie Artystycznym na Nowym świecie na Wystawę Gwiazdkową przybywa coraz więcej płócien artystów naszych. Do istniejących już w Salonie przybyły w ostatnich dniach obrazy Żmurki, Lindemana, Wastkowskiego, Wasilewskiego, Brodowskiego, Gumińskiego, Ryszkiewiczowej, Dmochowskiego, Wiśniewskiej i Wrońskiego. Nadto akwarelle Kostrzewskiego, Pillatego, Mączyńskiego i Rajskiego.

Drogi i komunikacye.

Jako następstwo ostatnich katastrof na drogach żelaznych, podają dzienniki wiadomość, iż w Ministeryum komunikacyi poruszonym został w ostatnich czasach projekt zmniejszenia godzin pracy tych urzędników i oficyalistów kolejowych, którzy należą do służby ruchu.

Zbyt długie dyżurowanie, jak się przekonano, nie wychodzi na dobre sprawie bezpieczeństwa ogólnego i pod tym względem system oszczędnościowy zarządów musi się przygotować na pewne niezbędne ofiary i ustępstwa.

Zawiadamiają pisma dobrze informowane, iż z rokiem 1897 zaprowadzone być mają na wszystkich liniach dróg żelaznych w Państwie, wagony sanitarne specyalne. Oprócz innych koniecznych urządzeń zaopatrzone być mają wagony takie w łóżka i potrzebną obsługę felczerską.

Linia Ostrołęcka-Pilawska oddaną będzie do użytku publicznego już w miesiącu Lipcu roku 1897.

Departament dróg żelaznych rozesłał do wszystkich zarządów kolei okólnik, w którym zaleconem jest zwiększenie baczności na pociągi osobowe i towarowe. Zapowiada również cyrkularz, iż na przyszłość w razie jakiegokolwiek nieszczęśliwego wypadku postanowiono pociągać do odpowiedzialności nietylko bezpośrednich sprawców katastrofy, ale i zwierzchników ich, jako winnych pomyłki w wyborze osób podwładnego personelu służbowego. Dodatkowo zapytuje to pismo o to, czy urzędnicy i oficyaliści nie są przeciążeni pracą.

Dobroczynność.

W ciągu upłynionego miesiąca w kuchniach i kawiarniach ludowych wydano różnego rodzaju pożywienia 111,819 osobom. Niezależnie od tego wydano kawy 7,252 porcyj, a herbaty 14,849. Dochód ze sprzedaży wszystkich produktów spożywanych w ciągu miesiąca wyniósł 4,284 a prócz tego wydano bezpłatnie herbaty za 100 rubli.

Z miejskiego bruku.

Zachęcone jednorazowem powodzeniem zabawy, urządziło Towarzystwo cyklistów na korzyść ubogich zostających pod opieką warszawskiego Towarzystwa dobroczynności, drugą edycyą w gmachu swoim na Dynasach tego samego widowiska.

Było to przedstawienie cyrkowe dane przez amatorów, które wykazuje, jakie są u nas zamiłowania rozrywek w dobrym smaku, skoro z amatorów złożyć już można ensemble wymagający przecież oprócz wrodzonych uzdolnień cyrkowych i tressury cyrkowej także. Powoli, ale przy wytrwałości dojdziemy i my przecież do czegoś.

Jedno z pism codziennych zachwycone jest coraz szerszem rozpowszechnieniem, jakie u nas zyskuje ślizgawka. Uznanie swoje opiera ów dziennik na tem, że tam gdzie życie towarzyskie zanika prawie doszczętnie, tam zabawa łącząca ćwiczenia fizyczne z zadaniem uspołeczniającem pożądaną jest niezmiernie. Młodzi ludzie mają sposobność spotykania się, zawiązuje się stosunek niejeden i t. d., i t. d.

Przedewszystkiem nie wiemy zupełnie kto i kiedy skazał nasze życie towarzyskie na zanik nieuchronny—dalej radzibyśmy aby nas objaśniono, jakim to sposobem daje się życie towarzyskie zastąpić ślizgawkami, huśtawkami i innemi tego rodzaju zabawami stanowiącemi rażące przeciwstawienie z wszelkiem należycie zrozumianem uspołecznieniem. Nakoniec i to także jest dla nas zagadką, dlaczego ludzie mający pojęcia gminne i pospolite dopuszczani są do dzienników, gwoli fabrykowania jakiejś opinii, którą nie publiczną, ale uliczną nazwaćby się godziło.

Zmarli.

Leszek Dunin hr. Borkowski literat, publicysta, a przedewszystkiem satyryk ostry. Rozgłos wielki miała przed trzydziestu kilku laty wyszła z pod pióra jego: „Parafiańszczyzna.” Dotkniętymi czuli się jedni, wzdychali obłudnie drudzy, inni jeszcze potakując kiwali głowami na tę ostrą admonicyą, jaką wystosował ś. p. Borkowski pod adresem społeczności galicyjskiej — wszyscy razem przyznawali autorowi dar bystrej obserwacyi i przezierającą poprzez gryzący sarkazm, gorącą chęć widzenia swojej społeczności inną, niż tą, jaką bezstronny obserwator widzieć musiał koniecznie.

Wskazówki i rady.

Jedynym najlepszym sposobem odświeżania czarnych koronek jest następujący:

Wziąć w rękę kilka łokci koronki, skropić je obficie okowitą czy spirytusem i roztrzepywać w obu rękach póki dobrze równo wilgotna nie będzie. Wtedy rozciągnąć ją gładko na ręczniku wzdłuż i zawinąć, zostawiając tak zwiniętą najmniej na godzin 12. Odwinąwszy z ręcznika koronki, będą sztywne i świeże jakby nowe. Naturalnie jeżeli nie są zbyt zniszczone, w takim razie patrz „Poradnik porządku wydanie 3).

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Nowe książki

NADESŁANE REDAKCYI „TYGODNIKA.”

Nakładem firmy Gebethnera i Wolffa:
Wybór Poezyj p. Kazimierza Tetmajera.
Uśmiech życia p. Znicza (Marya Paprocka).
Księga sławniejszych odkryć geograficznych Wł. L. Anczyca, uzupełniona przez Wł. Umińskiego.
Nakładem firmy G. Sennewald:
O czem Zosia nie wiedziała? p. Cecylię Niewiadomską.
Nakładem firmy Teodora Paprockiego i S-ki:
Obrazki Weneckie, p. W. Gomulickiego.
Nakładem firmy E. Kolińskiego:
Strzecha Rodzinna kalendarz.
Nakładem firmy Władysława Szulc:
Kalendarz Rolniczy.
O walce z posuchą p. Rostyczew.
Nakładem firmy Karnickiego w Krakowie:
Namiętności, powieść, p. Ant. G. Wysockiego.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami i list zwrotny „Biesiady literackiej”.

Дозволено Цензурою, Варшава 3 Декабря 1896 г. Warszawa. Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**